

wiek  
złoty  
Deepti  
Kapoor

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
AGE OF VICE

Copyright © Deepti Kapoor Parker 2019  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2023

Redakcja i konsultacja indologiczna: Elżbieta Walter

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Gregg Kulick  
Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Meszka

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



## **Delhi, 2004**

*Na poboczu wewnętrznej obwodnicy Delhi leży pięcioro nieżywych mieszkańców ulicy.*

*Brzmi to jak początek niesmacznego dowcipu.*

*Jeśli tak jest, to oni go nie usłyszeli.*

*Umarli tam, gdzie spali.*

*Prawie.*

*Rozpędzony mercedes, który przeleciał przez krawężnik i zabił ich na miejscu, przeciągnął zwłoki dziesięć metrów dalej.*

*Jest luty. Trzecia nad ranem. Sześć stopni Celsjusza.*

*Piętnaście milionów dusz skulonych we śnie.*

*Nad ulicami unosi się blada siarkowa mgła.*

*Jedna z zabitych, Ragini, miała osiemnaście lat. Była w piątym miesiącu ciąży. Obok niej spał mąż, dwudziestotrzyletni Rajesh, oboje leżeli brzuchami do góry, szczelnie owinięci od stóp do głów grubymi szalami; już wtedy wyglądali jak zwłoki, zdradzały ich tylko zewnętrzne oznaki życia: plecak pod głową, sandały starannie ułożone obok ramion.*

*Okrutny zwrot losu: zaledwie wczoraj przyjechali do Delhi, szukali tu schronienia razem z Krishną, Iyadem i Chotu, trójką migrujących robotników z tego samego dystryktu w stanie Uttar Pradeś. Każdego dnia mężczyźni budzili się przed świtem i pieszo wędrowali na targ pracy w Company Bagh, żeby podłapać każde zajęcie, jakie się trafi – kucharza w dhabie, kelnera na weselu, robotnika na budowie – a potem wystać pieniądze do rodzinnej wioski: na wesele siostry, szkołę dla brata, lekarstwa dla ojca. Żyli z dnia na dzień, z godziny na godzinę, pracujący*

*nędzarze walczący o przetrwanie. Wracali po zmroku na swój pusty skrawek ziemi bez dachu nad głową tuż przy obwodnicy, nieopodal Nigambodh Ghat. Niedaleko slumsów Jamuna Pushta, które kiedyś były ich domem.*

*Gazety nie rozpisują się jednak na temat trzech mężczyzn. Ich imiona nikną wraz z gwiazdami błędnymi o świcie.*

• • •

*Na miejsce wypadku przyjeżdża policyjny van z czterema policjantami. Wsiadają z wozu, widzą zwłoki oraz lamentujący gniewny tłum otaczający mercedesa. W środku ktoś siedzi. Młody mężczyzna, wyprostowany, sztywny, z rękami na kierownicy i mocno zaciśniętymi powiekami. Nie żyje? Umarł w takiej pozycji? Policjanci odpychają motłoch na bok i zagląдают do środka.*

*– Śpi? – pyta kolegów jeden z nich.*

*Na te słowa kierowca odwraca głowę i niczym potwór powoli otwiera oczy. Policjant spogląda na niego i przestraszony prawie odskakuje. Gładka, przystojna twarz młodzieńca ma w sobie coś groteskowego. Oczy łypią złowrogo, na wpół oszalałe, lecz poza tym wygląda jak spod igły. Policjanci otwierają drzwi i groźnie wymachując pałkami, każą mu wysiąść. Pod stopami kierowcy leży pusta butelka po whisky Black Label. Mężczyzna ma smukłe, wyrzeźbione na siłowni ciało, a na nim szary gabardynowy garnitur safari. Uczesane z przedziałkiem, idealnie naoliwione włosy nie odstają nawet na milimetr. Poza oparami whisky w samochodzie unosi się inny zapach – Davidoff Cool Water, ale o tym policjanci nie wiedzą.*

*Wiedzą natomiast, że mężczyzna nie jest bogaty, przeciwnie, jest biedną imitacją ubraną na obraz i podobieństwo bogactwa w służbie bogactwa. Ani strój, ani wypielegnowane ciało, ani kosztowny samochód nie są w stanie zamaskować jego niskiego urodzenia – smród ubóstwa zagłusza najszlachetniejsze trunki i wody kolońskie.*

*Tak, to służący, szofer, kierowca, chłopiec na posyłki.*

*Dobrze nakarmiona, przyuczona do służby wersja tego, co leży martwe na drodze.*

*A mercedes nie należy do niego.*

*Co oznacza, że można mu zrobić krzywdę.*

• • •

*Szłocha bez pamięci, kiedy policjanci wyciągają go z samochodu. Zgina się wpół, wymiotuje na własne buty. Jeden z funkcjonariuszy uderza go pałką, szarpie,*

zmusza do wyprostowania się. Inny przeszukuje kieszenie. Znajduje portfel, pustą kaburę pod ramieniem, pudełko zapalek z hotelu Palace Grande, plik banknotów zawierający dwadzieścia tysięcy rupii.

*Czyj to samochód?*

*Skąd pochodzą pieniądze?*

*Komu je ukradłeś?*

*Myślałeś, że się zabawisz w skradzionym samochodzie?*

*Czyj to alkohol?*

*Gdzie jest pistolet z kabury, dupku?*

*Dla kogo pracujesz, sukinsynu?*

*W portfelu znajdują się karta wyborcy, prawo jazdy, trzysta rupii. Dokumenty informują, że młodzieniec ma na imię Ajay, a jego ojciec Hari. Urodził się pierwszego stycznia 1982 roku.*

*A mercedes? Został zarejestrowany na Gautama Rathore.*

*Policjanci naradzają się: nazwisko brzmi znajomo. A adres – Aurangzeb Road – mówi sam za siebie. To miejsce, gdzie mieszkają tylko bogaci i wpływowi.*

*– Hej, dupku – warczy policjant, pokazując dokumenty wozu. – Czy to twój pracodawca?*

*Ale młody mężczyzna o imieniu Ajay jest zbyt pijany, żeby odpowiedzieć.*

*– Ej, dupku, wzięłeś jego samochód?*

*Jeden z policjantów idzie na pobocze i patrzy na zabitych. Oczy dziewczyny są otwarte, jej skóra już zsiniała na zimnie. Spomiędzy nóg, gdzie rodzi się życie, wypływa krew.*

• • •

*W komisariacie policjanci rozbierają Ajaya do naga i zostawiają w zimnym pokoju bez okien. Jest tak pijany, że traci przytomność. Po chwili funkcjonariusze wracają i wylewają na niego kubel lodowatej wody; wtedy młodzieniec budzi się z krzykiem. Sadzają go, przyciskają ramionami do ściany, rozsuwają szeroko nogi. Posterunkowa staje mu na udach i czeka, aż zatrzyma się krążenie. Chłopak krzyczy z bólu i znowu traci przytomność.*

*Do następnego dnia sprawa zatacza coraz szersze kręgi. W mediach wrze z oburzenia. Z początku najwięcej się mówi o dziewczynie w ciąży. Oplakują ją wszystkie serwisy informacyjne. Ale że nie była zbyt fotogeniczna i nikt nie wiązał z nią wielkich nadziei na przyszłość, uwaga przenosi się na zabójcę. Źródła*

potwierdzają, że właścicielem mercedesa jest Gautam Rathore, a to już stanowi nie lada nowinę, ponieważ Rathore należy do śmietanki towarzyskiej Delhi, jest znanym gawędziarzem, graczem w polo, ale przede wszystkim księciem, prawdziwym księciem krwi, pierwszym i jedynym synem członka parlamentu, maharadży Prasada Singha Rathore. Czy Gautam Rathore prowadził samochód? To pytanie nie schodzi z ust wszystkich mieszkańców Delhi. Ale nie, jego alibi jest niepodważalne. Wczorajszą noc spędził daleko, w hotelu Fort Palace pod Dżajpurem. Nikt nie wie, gdzie przebywa obecnie. Wydał jednak oświadczenie, w którym wyraził oburzenie i wysłał kondolencje rodzinom zmarłych. Wyjawił, że kierowca samochodu pracował u niego od niedawna. Wszystko wskazuje na to, że wyjechał mercedesem bez wiedzy Gautama. Wziął whisky oraz samochód i wybrał się na nielegalną eskapadę.

Oświadczenie policji potwierdza, co następuje: zatrudniony przez Gautama Rathore Ajay pod nieobecność pracodawcy ukradł z jego domu butelkę whisky, wziął mercedesa i wybrał się przejażdżkę, podczas której stracił kontrolę nad samochodem.

*Opowieść staje się faktem.*

*Zatwierdzonym w dokumentach.*

*Pierwszy raport policyjny zostaje sporządzony i zarejestrowany.*

*Ajay, syn Hariego, trafia do kartoteki z artykułu 304A indyjskiego kodeksu karnego. Nieumyślne spowodowanie śmierci. Maksymalny wyrok: dwa lata.*

• • •

*Zawożą go do zatłoczonego sądu i stawiają przed sędzią pokoju, który w ciągu dwóch minut zasądza areszt tymczasowy bez możliwości wniesienia kaucji. Razem z innymi więźniami wiozą go autobusem do więzienia Tihar. Czeka w kolejce do przyjęcia – wśród rzędów ponurych mężczyzn siedzących na drewnianych ławkach w holu poczekalni, w otoczeniu afiszów z obowiązującymi zasadami, wiszących na dziurawych otynkowanych ścianach. Kiedy przychodzi jego kolej, prowadzą go do ciasnego gabinetu, gdzie czekają na niego urzędnik siedzący przy maszynie do pisania oraz lekarz więzienny ze stetoskopem. Po raz kolejny wykładają jego rzeczy: portfel, dwadzieścia tysięcy rupii, pudełko zapatek z hotelu Palace Grande, pustą kaburę. Przeliczają pieniądze.*

*Urzędnik bierze długopis i zaczyna wypełniać formularz.*

*– Imię?*

*Więzień wytrzeszcza na nich oczy.*

- *Imię?*
- *Ajay – mówi ledwo słyszalnie.*
- *Imię ojca?*
- *Hari.*
- *Wiek?*
- *Dwadzieścia dwa.*
- *Zawód?*
- *Kierowca.*
- *Głośniej.*
- *Kierowca.*
- *Dla kogo pracujesz?*
- Urzędnik spogląda znad okularów.*
- *Jak się nazywa twój pracodawca?*
- *Gautam Rathore.*
- Z pliku pieniędzy zabierają dziesięć tysięcy rupii, resztę mu oddają.*
- *Włóż je do skarpetki – mówi urzędnik.*

• • •

*Po zatwierdzeniu formalności wysyłają go do więzienia nr 1; prowadzą przez dziedziniec do bloku, następnie wilgotnym korytarzem do dużej celi, gdzie leży stłoczonych dziewięciu więźniów. Na kratkach celi wiszą ubrania, niczym na bazarowym straganie, na podłodze leżą poszarpane materace, koce, tobołki i worki. W kącie jest mała latryna do zatłatwiania się w kucki. Chociaż w środku nie ma wolnego miejsca, strażnik każe uprzątnąć dla niego kawałek zimnej podłogi przy latrynie. Ale o materacu nie ma mowy. Ajay kładzie na kamiennej podłodze koc, który mu dali, siada, opiera się plecami o ścianę i patrzy przed siebie pustym wzrokiem. Podchodzi do niego kilku współwięźniów; przedstawiają się, lecz Ajay nie odzywa się ani słowem, nie przyjmuje niczego do wiadomości. Zwiija się w kłębek i zasypia.*

• • •

*Kiedy się budzi, widzi nad sobą stojącego mężczyznę, starego, bezzębnego, o rozbieganych oczach. Przeszło sześćdziesiąt lat na tym padole, mówi. Przeszło sześćdziesiąt lat. Jest kierowcą autorikszy z Bihar, a przynajmniej był nim za murami. Od sześciu lat czeka na proces. Jest niewinny. To jedna z pierwszych rzeczy, które oznajmia.*

– Jestem niewinny. Mówią, że handlowałem narkotykami. Ale ja jestem niewinny. Złapali mnie w niewłaściwym miejscu. Handlarz narkotyków jechał moją rikszą, ale uciekł, a mnie aresztowała policja.

Gada dalej, wypytuje Ajaya, o co go oskarżają, ile ma przy sobie pieniędzy. Ajay nie odpowiada, odwraca głowę.

– Jak sobie chcesz – mówi wesoto starzec. – Ale powinieneś wiedzieć, że potrafię tu załatwić różne rzeczy. Za sto rupii możesz dostać drugi koc albo lepsze jedzenie.

– Zostaw go! – wrzeszczy inny więzień, pulchny ciemnoskóry chłopak z Ali-garhu, dłubiąc w zębach gałązką miodły indyjskiej. – Nie wiesz, kto to jest? To Zabójca z Mercedesa. – Starzec się odsuwa. – Ja jestem Arvind – dodaje tłuścioch. – Mówią, że zabiłem żonę, ale jestem niewinny.

• • •

Spacerniak w porze przerwy. Setki więźniów wychodzą z cel, gromadzą się w grupki. Mierzą go wzrokiem. W pewnym sensie jest sławny. Wszyscy słyszeli o Zabójcy z Mercedesa. Chcą go obejrzeć z bliska, osobiście rozsądzić o jego winie lub niewinności, przekonać się, czy jest twardzielem, czy tchórzem, postanowić, gdzie jest jego miejsce. W niespełną minutę osądzają, że jest jednym z niewinnych. Kozłem ofiarnym bogatego szefa. Próbują wydobyć od niego tę prawdę. Co mu obiecali za wzięcie na siebie winy? Rarytasy? Pieniądze po wyjściu z więzienia? Szkołę dla dzieci? A może podeszli go inaczej? Zastraszali jego rodzinę? Zagrozili, że go zabiją? Czy też był po prostu lojalny?

Na spacerniaku, na korytarzach, w stołówce podchodzą do niego przedstawiciele gangów, które rządzą więzieniem, agitują, przekonują. Gang Chawanni, gang Sissodia, gangi Beedi, Haddi, Atte. Siejący postrach gang Bawania. Gang Acharya, gang Gupta. Jako człowiek niewinny, nieprzystosowany do życia przestępczego, będzie potrzebował ochrony. Jeśli nie wybierze gangu, wkrótce padnie ofiarą wymuszeń; bez wsparcia gangu będą go gwałcić, strażnik przeniesie go do celi z jednym współwięźniem; zostanie jego zabawką, nikt nie przyjdzie z pomocą, kiedy będzie krzyczał. I zabiorą mu wszystkie pieniądze. Mówią mu to wszystko, jakby udzielali mądrej, bezstronnej rady, jakby to nie oni stanowili zagrożenie. Ciągną go to w jedną, to w drugą stronę. Ile masz pieniędzy? Przylącz się do naszego gangu. Przylącz się do nas, a zapewnimy ci ochronę. Dostaniesz telefon komórkowy, pornografię, kurczaka. Ominie cię bal świeżaków. Przylącz się do naszego gangu,



*a będziesz mógł pieprzyć i gwałcić do woli. Nasz gang jest najsilniejszy. Lepiej się do nas przyłącz, zanim będzie za późno. Ajay ignoruje wszystkie perswazje. Kiedy wraca do celi, nie znajduje już swojego koca.*

• • •

*Woli być sam. I tak cierpi. Nie odstępuje go groza widoku zabitych ludzi, oplakuje ich każdym oddechem. Odrzuca wszystkie oferty gangów. Zbywa wysłanników i ich wyciągnięte dłonie. Tak więc kiedy drugiego dnia zostaje sam przed apteką, ponieważ wezwano go do lekarza, otacza go trzech mężczyzn. Wysuwają języki i wyjmują żyłki, które ukrywali w ustach. Rzucają się na niego, siekają po twarzy, piersi i ramionach, które unosi, by się osłonić. Przyjmuje cięcia niczym pokutę, nie pokazuje po sobie bólu. Lecz w końcu jego cierpliwość się wyczerpuje i znika jak zapadnia. Pierwszemu napastnikowi rozkwasza nos nasadą dłoni, drugiego chwytą za łokieć i łamie go w stawie. Trzeciego powala na podłogę. Bierze jedną z żyłek, ścisną mu dłonią szczękę, aż ten zaczyna pisać i otwiera usta, a wtedy on odcina mu połowę języka.*

• • •

*Znajdują go zbryzganego krwią, stojącego nad jęczącymi więźniami. Zamykają go oszołomionego w karczerze, tłuką, zapowiadają, że prędko stąd nie wyjdzie. Kiedy zatraskują się za nimi drzwi, Ajay wpada w szal, warczy, uderza dłońmi i kopie w ściany. Wrzeszczy, wydając nieartykułowane dźwięki. Niezrozumiałe słowa. Nie panuje nad swoim światem.*

*Wyobraża sobie koniec. Wszystkiego, czym jest, i wszystkiego, co zrobił. Ale nie. Nazajutrz rano otwierają się drzwi i wchodzi nowi strażnicy. Każą mu ze sobą iść. Najpierw weźmie prysznic. Trzęsie się, nagi i obolaty; obity do żywego. Kiedy podchodzą, zaciska pięści, cofa się pod ścianę, gotowy do walki, lecz oni ze śmiechem rzucają mu czyste ubranie.*

• • •

*Prowadzą go do gabinetu strażników. Wita go uczta: pokrojone świeże owoce, paratha, lassi. Wizja raj. Strażnik prosi, by usiadł.*

*– Zapal sobie – mówi. – Często się. Doszło do nieporozumienia. Nikt mnie nie poinformował. Gdybym wiedział, nie doszłoby do tego. Naprawdę nikt nie miał pojęcia, nawet twoi przyjaciele. Teraz wszystko się zmieni. Zaprowadzimy cię do*

*twoich przyjaciół. Będziesz wolny, w granicach rozsądku, oczywiście. A niefortunny incydent z tymi trzema pójdzie w niepamięć. Zostaliby ukarani, ale sam już ich ukarałeś, prawda? Niezłe widowisko. Ach, i pieniądze, są twoje. Trzeba było powiedzieć. Mogłeś postawić sprawę jasno. Sytuacja wyglądałaby inaczej. Czemu nam nie powiedziałeś?*

*Ajay patrzy na jedzenie, na paczkę papierosów.*

*– O czym?*

*Strażnik się uśmiecha.*

*– Że jesteś człowiekiem Wadiów.*

# **MAHARADŽGAŃDŹ, WSCHODNI UTTAR PRADEŚ, 1991**

## **AJAY**

*(Trzydzieści lat wcześniej)*

### **1**

Należy pamiętać, że Ajay był zaledwie chłopcem. Ośmioletnim i niedożywionym. Ledwo umiejącym czytać i pisać. Czujnym w głębi zapadniętych oczu.

Jego rodzina była biedna. Wyniszczona przez biedę. Z trudem wiążąca koniec z końcem w chacie skleconej z plastikowych płyt, połatanej suchą trawą, stojącej na wzniesieniu nad równiną zalewową, muskanej wiechami traw sarkandy, poza ocienioną granicą wioski. Matka i ojciec byli czyścicielami latryn; gołymi rękami i blaszanymi płytkami wyskrobywali gównno z wychodków mieszkańców wioski, po czym przenosili je na głowach w wiklinowych koszach, żeby wyrzucić z dala od ludzkich siedzib. Załatwiali się na polach przed świtem. Sikali po zmierzchu. Uprawiali mizerne warzywa liściaste w brudnym odpływie rzeczonym. Pili niezdatną do użytku wodę z dalekiej studni, żeby nie zanieczyszczać źródła miejscowej wspólnoty. Znali swoje miejsce. Żeby nie ściągnąć na siebie nieszczęścia.

Matka Ajaya, Rupa, jest znowu w ciąży.

Jego starsza siostra, Hema, opiekuje się kozą.

To wschodni Uttar Pradeś, 1991 rok.

Na północy wznosi się pogórze Nepalu.

Księżyc widać długo po wschodzie słońca.

Zanim Ajay zaczerpnął tchu, już go opłakiwano.

## 2

Jest rok 1991 i w dystrykcie źle się dzieje. Prosperują jedynie właściciele ziemscy z wyższych kast oraz ich poplecznicy i służusy. Chłopiec codziennie wędruje parę kilometrów do szkoły publicznej – starzejącego się, niekochanego wraku budynku, fałszywej nadziei z betonu; bez drzwi, z okiennicami w drewnianych oknach, rozpadającymi się i pełnymi dziur; z małymi salami, które nie mogą pomieścić zbyt wielu dzieci, zasmarkanych, uczesanych, z naoliwionymi włosami, w czystych, walczących z czasem wytartych mundurkach. Nauczyciela nie ma albo jest pijany, albo uciekł; czasami odbiera rządową wypłatę w domu. Ajay jest biedny, gorzej niż biedny, zepchnięty na sam dół wraz z innymi uczniami z najniższych kast Valmiki, Pasi i Kori, omijany z daleka, ignorowany. W czasie obiadu muszą czekać z boku, na kamienistej ziemi, podczas gdy dzieci z innych kast siedzą w rzędach na gładkim podeście ze skrzyżowanymi nogami i dostają jedzenie na liściach bananowca. Kiedy skończą, przychodzi kolej wyrzutek: ich porcje są skromne i rozwodnione. Po obiedzie Ajay zostaje zaprzęgnięty do pracy. Zamiatą podłogę, zeszkrobuje wysuszone ekskrementy w kątach sal lekcyjnych, usuwa z parapetów gówna jaszczurek. Pewnego dnia pod murem ogrodzenia leży zdechły pies, rozdęte, gnijące truchło, pokąsane przez węże. Każą mu przywiązać sznurek do tylnej łapy i wywlec psa poza teren szkoły.

• • •

W popołudniowym skwarze wraca na piechotę do domu, żeby pomóc Hemie zajmować się kozą. Mija świątynię Hanumana, mija chłopców grających w krykieta. Trzyma się na bezpieczną odległość. Trzy lata temu popełnił błąd: podniósł piłkę, która potoczyła się w jego kierunku, i odrzucił ją z powrotem. Chłopcy nie dotknęli jej, omijali ją jak trędowatego, a Ajaya ścigali przez pola. Uciekł, przechodząc przez rynsztok. Powiedzieli mu: jeszcze raz spróbuj dotknąć tej piłki, to odrąbamy ci ręce i nogi, spalimy je, a ciebie wrzucimy do studni.

• • •

Jest 1991 rok i jego ojciec wpada w kłopoty. Kozą zerwała się z uwięzi, weszła w szkodę na pole jakiegoś chłopca i jadła tam szpinak. Ajay i Hema sprowadzili ją z powrotem, właściciel pola dowiedział się o wszystkim. Zjawia się pod

wieczór razem z wójtem, Kuldipem Singhiem, a ten sprowadza bandę zacieklej zbirów. W ich obecności właściciel ziemi domaga się wyjaśnień, chociaż na nic się nie zdadzą wyjaśnienia. Ojciec Ajaya – sama skóra i kości – błaga o wybaczenie, chociaż nie ma mowy o wybaczeniu. Najpierw rozprawiają się z kozą. W przypływie jasnowidzenia zwierzę przeczuwa, co się święci, parska, pryca, staje dęba i próbuje bóść rogami, tak że zbiry cofają się przestraszone. Kuldip Singh musi odepchnąć ich na bok i samemu grzmotnąć kozę pałką w łeb. Pęka czaszka, zwierzę chwieje się nieprzytomne, nogi się pod nią składają – przez chwilę wygląda jak nowo narodzone koźle, które uczy się chodzić. Kuldip Singh opiera się kolanem na łbie kozy i podrzyna jej gardło. Upojone widokiem gorącej krwi zbiry ruszają na ojca Ajaya. Włoką go, przewracają, przygważdżają za ramiona i kolana do ziemi i na przemian chłuszczą bambusowymi kijami podeszwy stóp, potem w ferworze idą dalej, do kostek, łydek, kolan, pachwin. Obijają genitalia, pierś, ramiona. Jego żona i córka krzyczą, płaczą, błagają, żeby przestali. Ajay próbuje uciec, lecz Kuldip Singh chwyta go na wyroku. Ciężkie dłonie zaciskają się na ramionach chłopca. Niczym kwaśne perfumy uderza go w nozdrza zapach alkoholu i dymu papierosowego. Odwraca wzrok, kieruje oczy na różowiejące niebo, ale Kuldip Singh przytrzymuje mu głowę, więc musi patrzeć.

Ojciec zapada w gorączkę, jego ciało powleka siny zmierzch. Rankiem zrozpaczona matka idzie do miejscowego lichwiarza, Rajdipa Singha, błaga o pieniądze, by mogła zawieźć męża na leczenie do szpitala publicznego, oddalonego o dwadzieścia kilometrów. Po upokarzających negocjacjach Rajdip Singh pożycza jej dwieście rupii na czterdzieści procent.

W szpitalu lekarze odmawiają przyjęcia jej męża, jeśli nie zapłaci im z góry. Biorą sto pięćdziesiąt rupii, po czym zostawiają go w sali bez opieki. Przed północą ojciec wymyka się z tego świata. Matka w ciemności wlecze z powrotem do domu jego ciało przywiązane pasami do drewnianych noszy. Dociera na miejsce o świcie. Ponieważ mieszkańcy wsi odmawiają im dostępu do publicznego miejsca kremacji, sami wnoszą koło domu stos z taniego drewna podlanego olejem. Lecz drewna jest za mało, by dokończyć kremację. Smród jest nie do wytrzymania. Wykopują pod lasem płytki grób i składają tam na wpeł zwęglone zwłoki.

Następnego dnia zjawiają się ludzie Rajdipa Singha, by przypomnieć matce Ajaya, co jest im winna. Otaczają jego siostrę, rzucają sprośne uwagi. Ajay obserwuje to w milczeniu, ukryty w zaroślach sąsiedniego pola. Po spēkanej

ziemi pod jego stopami idzie karaluch. Chłopiec zasłania uszy, żeby nie słyszeć krzyków, i wdeptuje karalucha w ziemię. Potem rzuca się do ucieczki. Kiedy wraca po dwóch godzinach, siostra szlocha w kącie chaty, a matka rozpala ogień.

Kilka godzin później zjawia się thekedar, miejscowy pośrednik pracy. Składa kondolencje i ponieważ zna opłakaną sytuację rodziny, sugeruje, że osobiście spłaci ich dług. Mogą uregulować z nim rachunki jednym prostym, honorowym sposobem.

### 3

Ajay nie ma nic do powiedzenia. Następnego dnia przed świtem razem z ośmioma innymi chłopcami, których nigdy w życiu nie widział, zostaje załadowany na pakę małej ciężarówki Tempo. To stary samochód ze zniszczoną kabiną i brudną klatką na pace, z dachem otwartym ku gwiazdom, tak że jego ludzki ładunek może widzieć świat, lecz nie ośmieli się uciec. Ajay nie ma nic, co mógłby zabrać w drogę, poza starym ubraniem i brudnym kocem. Jego mama i siostra przez jakiś czas stoją w oddali, a po chwili odwracają się i odchodzą. Silnik pracuje na jałowym biegu, samochód stoi na piaszczystej drodze przy rowie. Thekedar wspina się do kabiny, z drugiej strony wsiada jego pomocnik i odjeżdżają wyboistą drogą od kielkującego światła w kierunku ciemnego horyzontu usianego gwiazdami. Ajay siedzi zamarły obok trzęsących się ponurych chłopców. Kilka nędznych koców, pozszywanych ze starych szmat, nie wystarcza, żeby ich ogrzać. Zbijają się w gromadkę pod ścianką klatki sąsiadującą z kabiną, patrzą na wschód, na ich domy niknące w oddali, i czekają na świt.

Tuż przed wschodem słońca zatrzymują się przed zatłoczoną dhabą, żeby się załatwić. Bezmyślne świetlówki ściągają spragnione ćmy. Z ust kierowców ciężarówek, którzy zatrzymali się na odpoczynek, ulatują kłęby pary. W ciągu kilku minut niebo blednie i z ciemności wyłania się krajobraz. Szosą turkoczą pojazdy. Po drugiej stronie drogi we mgle rozciąga się pole pszenicy. Pomocnik thekedara, żylasty mężczyzna o ospowatej pociągłej twarzy, ze szparkami zamiast oczu i zakręconymi wąsami, otwiera drzwi klatki. Ostrzega, żeby nie próbowali uciekać, kiedy pójdą do rowu się wysikać, lecz na wszelki wypadek staje za ich plecami i czekając, bawi się nożem. Nadciąga jeszcze gęstsza mgła,

słońce pokazuje się na chwilę w postaci bladego srebrzystego dysku, po czym znika. Zamknięci z powrotem w ciężarówce chłopcy dostają roti i ćaj, podczas gdy thekedar i jego pomocnik siadają przy jednym z plastikowych stolików i zamawiają parathę z nadzieniem ziemniaczanym.

To jest ten moment.

Jeden z chłopców – o kręconych włosach i piersi jak gołąbek – zrywa się, wspina po ściankach paki, zeskakuje na ziemię i zanim ktokolwiek zdąży zareagować, pędzi w stronę pola za dhabą. Ramiona wyciągają się instynktownie, żeby go złapać, lecz chłopiec prześlizguje się między nimi, przeskakuje nad stertami śmieci, potem nad cuchnącym rowem i znika we mgle zaścielającej pole. Pomocnik thekedara zrywa się na równe nogi, przewraca plastikowe krzesło i rzuca się za nim w pościg. Przebiega obok toalet, przeskakując przez rów, wyciąga nóż. Potem obaj, mężczyzna i chłopiec, znikają. Kierowcy ciężarówek, pracownicy dhaby, chłopcy – wszyscy patrzą wyczekująco w kierunku, gdzie zniknęli; próbują przebić wzrokiem szary przestwór, nastawiają uszu, żeby coś usłyszeć. Tylko thekedar, człowiek doświadczony, siedzi spokojnie i popija herbatę.

Mija pięć minut, lecz nic się nie dzieje.

Wszyscy wracają do swoich czynności.

Nagle gdzieś we mgle rozlega się paraliżujący krzyk, pełne oburzenia zawodzenie. Zaczynają ujadać wszystkie bepańskie psy.

W końcu wraca zdyszany pomocnik, sam, w białym podkoszulku poplamionym krwią. Spluwa na ziemię i siada bez słowa.

Nikt nie ośmiela się spojrzeć mu w oczy.

Dopija herbatę, kończy parathę.

Ta chwila wypala piętno w pamięci Ajaya.

Mgła na polach podnosi się i rozprasza.

Jadą cały dzień, słońce coraz bardziej praży, wypala swój zniewolony świat, jego miasteczka, piaszczyste skrzyżowania z ciężarówkami i straganami warzywami. Chłopcy zaczynają się kręcić, jakby się zbudzili z narkotycznego snu, szepczą między sobą, próbują się osłonić przed palącym słońcem, piaskiem i wiatrem. Ajay mruży oczy, z nikim nie rozmawia; próbuje sobie przypomnieć twarz ojca, twarz siostry, twarz matki. Próbuje sobie przypomnieć swój przydrożny dom. Budzi się po południu, choć nie wiedział, że zasnął, i widzi

miasto – szerokie ulice, okazałe budynki i ogrody pełne kwitnących kwiatów, świat, który wydaje mu się snem.

Kiedy budzi się następnym razem, słońce zaczyna zachodzić, a oni jadą wąską drogą wznoszącą się w kierunku gór; po prawej stronie piętrzy się zwirowy nasyp, a za nim rozciągają się faliste wzgórza.

Spogląda w oczy pozostałym chłopcom i w końcu się odzywa.

– Gdzie jesteśmy?

– W Pendźbie.

– Dokąd jedziemy?

Jeden z chłopców wskazuje przed siebie ruchem głowy.

– Tam, w góry.

– Po co?

Chłopak odwraca głowę.

– Do pracy – odpowiada za niego następny.

• • •

Późną nocą przekraczają granicę gór. Pną się pogórzem, pełzną serpentykami, na wzniesieniach wloką się z prędkością muła, silnik rzeźi, zmagając się z potokiem wąwozów i nieprzeniknioną ciemnością. Kiedy wjeżdżają na płaskowyż, z boku śledzi ich szemrząca wstęga rzeki. Wychodzi przybywający sierp księżyc. Wysokie niebo opalizuje. Lecz pod flotyllą płynących chmur króluje ciemność, groteskowe kształty, zdradzieckie przepaście, świat cieni i usypiający szum silnika. Temperatura spada i chłopcy wtulają się w siebie, żeby się ogrzać. Grzechoczące worki małych kości obejmujące się z zimna. Potem spowija ich całun koszmarów, niekończąca się jazda pod górę, nagle gwałtowny zjazd, godzina za godziną kluczenia przez doliny i zakręty, w powietrzu tak zimnym, że kaleczy skórę. Ajay stara się wytrzymać – do następnego zakrętu, do równiny, do słońca wschodzącego i rozprzestrzeniającego się na niewidocznej rzece, czeka na powrót do domu, na mamę budzącą go ze snu, żeby przyciągnął ze szkoły martwe psy.

Potem światło wypuszcza pędy i wstaje dzień, nad szczytami pęka skorupa ciemności i wypływa z niej żółtko słońca, a granatowa śmierć, która wypełniała ostatnie godziny, odchodzi w niepamięć. Nieskalane światło i triumfujący poranek. Ajay przygląda się twarzom chłopców poruszających się pod kocami, oszołomionych, mrugających. Starsze twarze – czternastoletnie lub



piętnastoletnie – jedna młodsza, może siedmioletnia. Sprawdza, czy się zmienili. Nie. Ale przeszli przez portal.

Nie ma już nadziei na powrót do domu.

• • •

Samochód zatrzymuje się na śniadanie obok nędznej przydrożnej herbarciarni, wyciętej niczym grotą w skalnej ścianie nieopodal świątyni miejscowego bóstwa, przy drodze, na której ledwo mogą się minąć dwa samochody. Głęboko w wąwozie płynie łagodnie rzeka. Z kabiny wyskakuje pomocnik thekedara, przeciąga się, rozprostowuje ramiona, zapala biri i podchodzi do krawędzi, gdzie pomalowane na biało kamienie ostrzegają przed upadkiem w przepaść. Czyści paznokcie szczyrzykiem i spluwa w pustkę; syczą na niego ze złością iskające się małpy, obnażają kły i przeskakują na następną gałąź.

Chłopcy nadal siedzą na pace.

Zgaszony silnik jest najgłośniejszym dźwiękiem na świecie.

Thekedar wita się z właścicielem, który stawia stągiew na prymusie naftowym. Znad krawędzi wraca pomocnik i siada obok niego. Po drodze otworzył klatkę. Trzej mężczyźni plotkują, wymieniają najnowsze wieści z okolicy.

Pomocnik gwizdże na chłopców.

– Rozprostujcie nogi, odlejcie się. Następnej szansy prędko nie dostaniecie. Mężczyźni są rozluźnieni, wczorajszy incydent w dhabie poszedł w niepamięć.

Tym razem chłopcy nie mają dokąd uciec.

Wysiadają z samochodu i kręcą się bez celu, patrzą w głąb wąwozu z wapienia, wciągają w piersi czyste, chłodne powietrze. Ajay słyszy rzekę, ukrytą poza zasięgiem wzroku, spływającą ze szczytu świata.

Jeden z chłopców, może ten najmłodszy, siedmioletni, podchodzi do brzegu urwiska.

Ajay obserwuje go, jak stoi zauroczony i patrzy w dół, balansując na krawędzi.

Dopóki pomocnik nie chwyta go za ramię i nie odciąga w tył.

I znów ruszają w drogę.

O dziesiątej już bezlitośnie piecze słońce. Zarzucone luźno koce zapewniają cień.

Przemykają przez Himalaje.

Uwolnieni od nocy.

Jeszcze bardziej zagubieni.

Teraz śpią.

Przed południem dojeżdżają do nędznego miasta targowego leżącego w gorącej dolinie, duszącego się od smarów i silników, wysypiska śmieci w środku gór, niecki pełnej brudu. Przeprowadzają się przez wąską kamienistą rzeczku z zaparami śmieci, z niskim metalowym mostem utkany flagami modlitewnymi. Skręcając na nową drogę, wyjeżdżają z miasta i między sosnami podążają w górę strumienia. Nurt rozszczepiają małe, porośnięte trawą wysepki. Na północy, w prześwitach między pachnącymi żywicą drzewami, wznoszą się ośnieżone górskie szczyty. Nowe, ogromne pasmo górskie, nieprzebyta biała ściana. Ajay znowu zasypia. Śni mu się ojciec: jego ciało jest zwęglone, na głowie niesie kosz.

Po południu ciężarówka zbliża się do dużego miasta otulonego lesistym wzniesieniem. Stoi na straży długiej, wąskiej doliny rozcinającej ziemię między stromymi zboczami. Wysoko nad miastem zwisają górskie wodospady, rozpryskujące wodę spadającą do lawirującej meandrami rzeki, wzbudzające jej nurt. Nieco niżej mieszkańcy miasta piorą w strumieniu ubrania, smagają tkaninami kamienie. Samochód skręca i odgłos rzeki cichnie za ścianą ciężkich sosen. Kluczą między schłodnymi domami okrytymi drewnem i wreszcie wjeżdżają na parking pod drzewami.

Ni stąd, ni zowąd silnik po prostu gaśnie i chłopcy, znów osieroceni z dźwięku, mrugają, chwiejnie podnoszą się na nogi jak ludzie schodzący na ląd po miesiącach spędzonych na morzu.

Czeka już na nich tłum. Thekedar wyskakuje z kabiny niczym biznesmen, spluwa betelem i wyjmuje z kieszeni notes. Nie zwlekając, zaczyna wyczytywać imiona, a jego pomocnik otwiera pakę ciężarówki i kolejno przyprowadza chłopców. Wywiązują się dyskusje, pieniądze przechodzą z ręki do ręki. Świeżo powstałe wątle więzi zostają na nowo zerwane. Zaczyna padać lekki deszcz i Ajay kuli się, czekając na swoją kolej. Jeden po drugim chłopcy zostają wyprowadzeni. Na pozostałych trzech rozpoczyna się licytacja.

#### 4

Ajay zostaje sprzedany dobrze ubranemu otyłemu mężczyźnie o rumianych policzkach i napuszonych manierach.

– Możesz do mnie mówić „Tatusiu” – mówi mężczyzna, biorąc Ajaya za rękę i prowadząc go do pobliskiego postoju autoriksza. – Jak masz na imię?

Lecz Ajay nie jest w stanie odpowiedzieć, zaszokowany, że ten wielki mężczyzna trzyma jego brudną małą rączkę.

• • •

Jadą wschodnią stroną doliny na tylnym siedzeniu autorikszy. Pod nimi miasto stacza się po zboczu coraz ciasniejszymi zakrętami. Przez klapiące płócienne zasłony rikszy widać wyższe pasma gór, lodowce niczym klejnoty lśnią w rzęsimym deszczu. Ajay milczy wciśnięty głęboko w siedzenie, podczas gdy pochylony do przodu Tatusz gawędzi z kierowcą. Parę kilometrów dalej wyłania się mniejsza, spokojniejsza miejscina, usiana ciemnymi domami wzniesionymi w starym górskim stylu – z dachami pokrytymi strzechą, ścianami z ciężkich kamieni, drewnianą konstrukcją i podnieszczonymi rzeźbionymi balkonami. Obok nich stoją groźne nowoczesne budynki z betonu, ze stertami rzecznoego piasku i kamienia pod plastikowymi płachtami.

Riksza wysadza ich przed czymś, co wygląda na mały wiejski domek zbudowany na stoku wzgórza, i dopiero kiedy schodzą z drogi, Ajay zauważa, że budynek ciągnie się na pięć pięter w dół, jakby ześliznął się po stoku podczas osuwiska. Wchodzą do najwyższej części pustym krótkim korytarzem i wkrótce, minawszy ciężkie drewniane drzwi, zatrzymują się w przestronnym, jasnym i ciepłym pokoju z wielkimi oknami wznoszącymi się po dwóch stronach od podłogi do sufitu, skąd roztacza się prawdziwy cud – panoramiczny widok na dolinę. Pokój przepelniają kanapy, tkane dywany, ozdoby i antyki. Z zajmującego centralne miejsce wielkiego pieca rozchodzą się wijące czułki rur rozprawiających ciepło do innych pomieszczeń domu; tylko jedna bucha ku niebu dymem przez otwór wentylacyjny obok okna. Na piecu bulgocze wielki garnek z mlekiem i wypełnia pokój kremowym powietrzem.

Z kanapy podnosi się najbardziej olśniewająca kobieta, jaką Ajay w życiu widział – pulchna, różowa i pachnąca. Uśmiecha się do niego.

– To jest Mamusia – oznajmia Tatusz, trzymając Ajaya za ramiona.

– Dzień dobry – mówi Mamusia, wyciągając różową dłoń. – Jak masz na imię?

– Śmiało, chłopcze, podaj Mamusi dłoń – zachęca go Tatusz.

Lecz Ajay tylko wytrzeszcza na nią oczy.

– Jak ma na imię? – pyta Mamusia, z niejakim wysiłkiem utrzymując na twarzy uśmiech.

– Uściśnij dłoń – mówi Tatuś. – O tak. – Ujmuje dłoń Mamusi i lekko potrząsa. – Widzisz?

Ajay podnosi wzrok na Tatusia i uśmiecha się głupkowato.

– Jadłeś coś? – pyta Mamusia głosem, jakim mówi się do małego dziecka. – Napijesz się herbaty?

Ajay dalej tylko się uśmiecha.

– Jest nieśmiały – stwierdza Mamusia, jakby stawiała pacjentowi diagnozę. Przykuca i przygląda mu się z bliska. – Czy on na pewno umie mówić?

– Oczywiście – odpowiada Tatuś.

Lecz Ajay nie odzywa się ani słowem.

– Wątpię, by umiał czytać lub pisać – dodaje Tatuś. – Ale na pewno mówi. Prawda?

– Nie sprawdziłeś tego? – pyta Mamusia lekko poirytowana.

– Tylko on został – oznajmia Tatuś.

– Jak masz na imię? – powtarza pytanie Mamusia, ujmując dłonie chłopca.

Ajay jest zahipnotyzowany.

W końcu odpowiada prawie bezgłośnie:

– Ajay.

– Możesz powtórzyć? – prosi Mamusia z uśmiechem, przysuwając ucho do jego ust.

– Ajay – szepcze chłopiec nieco głośniejsze.

– Ajay! – woła zwycięsko Mamusia, prostując się i powtarzając imię, jakby było najpiękniejsze na świecie. – Ślicznie.

– Miałem rację, że umie mówić – triumfuje Tatuś.

– Pokaż mu jego pokój.

Tatuś wyprowadza Ajaya z powrotem na dwór, lecz zamiast wyjść na drogę, okrążają dom, schodzą po kamiennych schodach, osłoniętych daszkiem przed deszczem, mijają porośnięty trawą taras i zatrzymują się pięć pięter niżej, na parterze budynku. Wchodzą do pomieszczenia tak przesiąkniętego wilgocią, jakby przemoczona deszczem ziemia chciała wytrysnąć przez betonową posadzkę. Jest to magazyn pełen gratów i worków z cementem, z jednym brudnym materacem i kilkoma kocami.

– To jest twój pokój – oznajmia Tatuś. – A to klucz. Pilnuj go, bo jeśli go zgubisz, nie będziesz mógł zamknąć drzwi.

Ajay wpatruje się w klucz leżący na jego dłoni.

– Tam jest łazienka. – Tatuś wskazuje inne drzwi. – W środku znajdziesz mydło. Umyj się i odpocznij. Teraz jest pierwsza. Przyjdę po ciebie o piątej, wtedy zaczniesz pracę.

Ajay patrzy na półkę obok materaca, gdzie leżą różne rzeczy: dwa podkoszulki, szkolny notes, piłka nożna bez powietrza, nakręcana kaczka na kółkach i lustro ozdobione matowym szkłem.

– Możesz sobie to wszystko wziąć – mówi Tatuś, odwracając się od drzwi. – Należały do poprzedniego chłopca.

. . .

Zasypia zakopany w koce, w sercu nadal czując kołysanie samochodu.

Kiedy się budzi, deszcz już nie pada, wokół panuje cisza, a w zakurzonej okienku unoszącym się nad gratami pulsuje dziwny blask. Z początku nie wie, gdzie jest, wszystko powraca powoli, podróż pierzcha niczym sen, zostaje tylko pokój, jedyna namacalna przestrzeń, oderwana od reszty świata.

Długo leży bez ruchu, zakopany w koce; jego umysł jest ptakiem latającym we śnie nad oceanem.

Słońce zachodzi za górami na drugim końcu doliny, chmury odpłynęły i odsłoniły czysty błękit. Trawa na tarasach stroszy się kroplami deszczu. Z domu wznoszącego się nad jego głową pulsuje samotność. Wchodzi po schodach, żeby zajrzeć do środka, lecz w głównym budynku jest ciemno – światła pogaszono. Nie wie, co robić. Wszystkie domy stojące na zboczu góry, zarówno w dole, jak i nad nimi, wydają się opuszczone. Wraca więc do swojego pokoju, nakrywa głowę kocami i czeka.

. . .

– Umyłeś ręce? – pyta Tatuś.

– Tak – kłamie szeptem Ajay.

– Umyj jeszcze raz.

To mantra tego domu.

Umyj ręce. Umyj jeszcze raz. Umyj stopy. Upierz swoje ubranie. Umyj swój zasmarkany nos.

Karmią go. Tatuś zachęca go do jedzenia.

– Żeby pracować – mówi – musisz być silny. Jedz ryż z solą i ghi, pij mleko, nie skap sobie dobrych rzeczy, mamy pod dostatkiem mleka i ghi.

Wyjaśniają mu szczegóły jego obowiązków. Ajay słucha beznamiętnie.

Tatuś ma małą farmę na wysoko położonych łąkach za lasem, godzinę wspinaczki stąd. Ajay ma zastąpić poprzedniego chłopca. Będzie się zajmował mlekiem, przygotowywał ghi, wykonywał prace domowe: robił śniadania, zamiatał i mył podłogi, prał ubrania, dokładał do ognia, przyrządzał obiady, a potem zmywał naczynia. Dostanie własny talerz, filiżankę, miskę i łyżkę.

– Umiesz gotować? – pyta Tatuś.

Ajay kręci głową.

– Nie szkodzi, nauczysz się. Zaczнеш od razu. A jutro po śniadaniu pojedziemy na farmę.

• • •

Wieczorem Mamusia pokazuje mu, jak przygotowuje się obiad – curry z kurczaka, potrawę z ziemniaków i kalafiora, biały ser w sosie szpinakowym, ryż. Ajay patrzy z rozdziawionymi ustami na bogactwo składników, na obfitość przypraw, na pełne łyżki ghi. Mamusia jest wielkoduszną kucharką i cierpliwą nauczycielką. Ajay dostaje na wierzch dłoni odrobinę wszystkiego do spróbowania, z niedowierzaniem wznosi rozszerzone oczy, kiedy jego język eksploduje smakami.

– Popatrz tylko na jego uśmiech – mówi Mamusia.

Lecz Tatuś siedzi pochłonięty gazetą.

Kiedy nadchodzi kolej pieczenia roti, Ajay otrzymuje polecenie, by przyrządzić je samemu. Wychodzą dobre, zdaniem Mamusi, tylko zbyt oszczędnie dodaje soli.

Następnie Mamusia uczy go nakrywać do stołu, jak układać sztućce, miseczki, talerze, a kiedy obiad jest gotowy, zapraszają go, by usiadł razem z nimi.

Lecz Ajay nie wie, jak to zrobić.

– Usiądź – mówi Mamusia, wysuwając dla niego krzesło. – Tutaj.

Chłopiec wdrapuje się na mebel, nie spuszczać z niej oczu.

– A teraz nałóż sobie jedzenie.

Ajay patrzy niepewnie to na jedno, to na drugie.

– Śmiało.

Sięga po łyżkę do nakładania i niezdarnie przenosi na swój talerz niewielkie porcje. Tatuś udaje, że nie zauważa, jak rozrzuca po drodze jedzenie.

Kiedy w końcu na talerzu Ajaya piętrzą się małe kopczyki potraw, Tatuś nie wytrzymuje.

– Potrzebujesz więcej stawy – mówi, nakładając mu na talerz kopiaсте łyżki ryżu oraz gęstego sosu z soczewicy, po czym hojnie polewa wszystko ghi.

– Czy to nie najlepsze ghi, jakie w życiu jadłeś? – pyta Mamusia.

– Tak – odpowiada szeptem chłopiec. W ogóle nigdy wcześniej nie miał czegoś takiego w ustach.

– Twój tata umarł – oznajmia Tatuś, jakby ojciec Ajaya zadzwonił przez telefon, by przekazać mu tę wiadomość. – Twoja mama liczyła, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, by jej pomóc.

Tym sposobem Tatuś ustanawia historię.

– Więc przyjechałeś tu do pracy, żeby twojej rodzinie żyło się jak najlepiej.

Ajay patrzy na niego bez słowa.

– Twoja mama nie musi się już denerwować. Wszyscy twoi bliscy są szczęśliwi, ponieważ pracujesz.

Chłopiec przypomina sobie twarz mamy czekającej w ciemności, aż załadują go na samochód. Przypomina sobie płonące zwłoki ojca. Widzi pola pszenicy, kiedy odwraca się i ucieka przed krzykiem siostry. Bosą stopą rozdeptuje karalucha, powtarzając w myślach: Kuldip i Rajdip Singhowie.

– Wiem, że pochodzisz z okolic – mówi Tatuś – gdzie pielęgnuje się wiele zacofanych wierzeń i przesądów. Wiele zasad i zwyczajów prawdziwych dla rzeczywistości twojego świata. Lecz my tutaj jesteśmy od nich wolni i ty również się od nich uwolniłeś. Rozumiesz?

Ajay przenosi wzrok z Tatusia na Mamusię, na polana płonące w piecu, na curry z kurczaka.

– W naszym domu – ciągnie Tatuś – obowiązują inne zasady, niezależnie od tego, z jakiej kasty pochodzisz. Wszyscy jesteśmy istotami ludzkimi i wszyscy ludzie są tacy sami. Czy wiesz, co to znaczy?

Ajay milczy.

– To znaczy, że jeśli ktoś cię zapyta, kim jesteś i skąd pochodzisz, powiesz mu: „Pochodzę z domu kszatrijów”.

Chłopiec spuszcza oczy na talerz.

– Powiedz to – nalega Tatuś, przeciągając słowa. – „Pochodzę z domu kszatrijów”.

Ajay przenosi wzrok na Mamusię, a ta kiwa zachęcająco głową.

– Mieszkam w domu kszatrijów – szepcze Ajay.

– Nie – rzuca Tatuś. – Teraz stąd pochodzisz. Rozumiesz?

Chłopiec kiwa głową.

– Pochodzę stąd.

– Bardzo dobrze. – Tatuś jest zadowolony z wykonanej roboty. – A teraz jedz.

Ajay próbuje.

Robi kulkę z ryżu i sosu z soczewicy. Wpatruje się w nią.

Ale nie może jej podnieść do ust.

Wygląda jak sparaliżowany.

– Co się stało? – pyta Tatuś, wymownie odkładając łyżkę.

– Co się stało, dziecko? – Mamusia nachyla się do chłopca, żeby mógł jej wyszeptać do ucha.

Podczas gdy Ajay wyjaśnia, ona spogląda z troską na męża.

– Pyta, czy może zjeść na podłodze – przekazuje łagodnie, wskazując oczami kąt kuchni.

Tatuś bierze długi, wymowny oddech, który wyraża jego uczucia lepiej niż słowa.

– Mówiłem ci – mruczy do Mamusi.

– Tak, wiem.

– Dobrze. Weź jeden z metalowych talerzy i idź.

Ajay odskakuje od stołu i przynosi sobie tanią metalową tacę. Przekłada na nią zawartość porcelanowego talerzyka, dokłada sobie kurczaka, biegnie w kąt kuchni, siada na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i odwrócony twarzą do ściany, wcina, aż mu się uszy trzęsą. Ten jeden posiłek mieści w sobie więcej jedzenia, niż kiedyś jadał przez tydzień. Ma wrażenie, że za chwilę pęknie mu żołądek.

Po obiedzie, podczas gdy Mamusia i Tatuś odpoczywają, Ajay dostaje polecenie, by pozmywać naczynia. Kiedy wszystko jest czyste, Mamusia pokazuje mu, jak się przyrządza ciepłe mleko z kurkumą.



– Dzień zaczyna się o piątej – objaśnia Tatuś, podczas gdy Ajay pije przy piecu gorący napój.

Ciepło działa hipnotyzująco. Chłopiec ma ochotę położyć się na podłodze i zasnąć. Lecz po skończonej pracy dostaje sandały i zostaje odesłany na dół. Schodzi po zimnych stopniach, drżąc w wilgotnym powietrzu, po czym zamyka się w swoim pokoju, nakrywa wszystkimi kocami, jakie udaje mu się znaleźć, i leży w smutnej ciemności, czekając na świt.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).